ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wspomnienia z polowań w Rudniku.

Pewien doktor porobił doświadczenia, że nieboszczyków, nawet serdecznie opłakiwanych, nikt napowrót do życia powołać nie pragnie.

Cytuje on żonę, opłakującą śmierć męża, która na propozycyę jego wskrzeszenia go, mówi: „panie, toby było egoizmem z mej strony, on ostatnimi czasy tak bardzo cierpiał, tam mu lepiej, niech ja już sama ten ciężar życia dźwigam.“ Siostrzeńcy lub bratankowie, opłakujący wuja, stryja, wnuki stratę dziadzia lub babci, zawsze tłumaczyli doktorowi: „im tam lepiej, zostaw ich w spokoju.“

Ja myślę, że doświadczenia porobione przez owego doktora nie są kompletne. Nie przeczę, że gdyby ci najukochańsi i tak serdecznie opłakiwani, do życia powrócili, narobiliby niemałego ambarasu tak sobie jak i swoim następcom, — a już chyba najtrudniejsze położenie byłoby pierwszego śp. męża—zastającego tak serce jak i osobę w posiadaniu drugiego.

Doświadczenia owego doktora mogą nie mylić tylko w tych razach, jeżeli pozostali zajęli w pewnym kierunku miejsce usuwającego się ze świata, lecz w żadnym razie stosunku rodziców do dzieci, lub przyjaźni bezinteresownej pod tę kategoryę podciagać nie można, gdyż chyba większej rozkoszy pojąć mi trudno — gdyby to możebnem było — jak wskrzesić do życia te osoby, z któremi przeżyliśmy długie lata w przyjaźni.

Nie mając siły, aby tych utraconych, a życzliwych mi, do życia powołać, wskrzeszam ich w mej pamięci, a że ten, o którym wspominać zamierzam, był wybitnym i jednym z najlepszych myśliwych w kraju, pragnę się podzielić memi wspomnieniami z *Łowcem*.

Ś. p. Konstanty Rucki, urodzony z hrabianki Dembińskiej z Nienadowej, właściciel Małej w tarnowskim, wziął po żonie, hrabiance Tyszkiewiczówne, Kolbuszowę, obszerny majątek na piaskach, znakomity teren do polowania.

Czasy, do których ś. p. Konstanty Rucki należał, były tak odmienne od dzisiejszych, że w żaden sposób jedną miarą mierzyć ludzi tamtych z tegoczesnymi nie można, i jeżeli dziś ludzie więcej pracują, a wybitniejsi i zasługi większe mają, to z drugiej strony charakterów tak czystych i humorów tak swobodnych, jak dawniej się spotykało, jest dzisiaj daleko mniej, bo niestety polityka wszystko psuje. Ś. p. Konstanty Rucki posiadał zalety ówczesnych ludzi w najwyższym stopniu.

Jak wyżej wspomniałem, po żonie wziął Kolbuszowe, obszerny majątek na piaskach, obdłużony znacznie, tam też zamieszkał. Aby majątek utrzymać, ratował się kredytem i to nie tanim, bo banków jeszcze nie było, a drzewo było za bezcen. Terminów, o których pamiętać musiał, miał co miesiąc kilka, a przytem prowadził dom otwarty, z którego goście nie wyjeżdżali, bo owdowiawszy wcześnie i mając dwie córki na wydaniu, (z których jedna wyszła za hr. Załuskiego, syna generała, a druga za Cetnerskiego) musiał zarazem zastępować im matkę. Trzeba też było mieć wyjątkowe zdrowie, którym się ś. p. Rucki cieszył, aby temu wszystkiemu z pogodą podołać. A jak gościnny był ten dom i jak się tam bawiono!

Ponieważ ś. p. Konstanty Rucki był stryjecznym bratem mej matki, już za bardzo moich młodych lat bywałem tam, gdy obie córki pannami były. Później gdy już córki powydawał, a majątek umiejętną pracą i oszczędnością zupełnie oczyścił, bywałem u niego częstym gościem, tak podczas polowań na błotach jak i polowań w kniei. Dawniej jak wszędzie, tak i u niego polowano z gończymi. Dojeżdżacz jego, Kubuś, sławny pijak, przychodził zawsze wieczór po dyspozycyę—jeżeli się polować miało na drugi dzień, nie upił się nigdy, w przeciwnym razie zaraz od rana był pijany, a w tym stanie bardzo dowcipny i zabawny. Umarł na zapalenie płuc i jeszcze w ostatniej chwili żartował; gdy ś. p. Rucki przyszedł go odwiedzić, powiedział: „wkrótce będę bardzo hardy, bo do nikogo słowa nie przemówię", i rzeczywiście w godzinę potem skonał.

Jeden z pierwszych zarzucił ś. p. Konstanty polowanie z ogarami i zaczął chodować zwierzynę na wielką skalę, a w krótkim czasie doprowadził do tego, że w dwóch dniach padało u niego po 400 zajęcy prócz rogaczy i lisów.

Większe polowania odbywały się u niego raz do roku, a prócz najbliższych bywali u niego już dziś w lepszym świecie bawiący śp. Eugeniusz i Władysław Stojowscy, ś. p. hr. Kazimierz Starzeński, ś. p. hr. Jan Tarnowski z Chorzelowa, ś. p. hr. Ludwik i Henryk Wodziccy, ś. p. hr. Władysław Rej, ze dwa razy ś. p. Łucyan Siemieński i cieszący się, dzięki Bogu, dobrem zdrowiem, JE. hr. Wilhem Siemieński.

Oprócz polowań większych, polowaliśmy bardzo często w kniejach okolicznych, dzierżawionych przez Ruckiego, lecz tylko w małym gronie, a to dwóch jego siostrzeńców, ś. p. Konstanty Bzowski i brat jego, a mój przyjaciel i sąsiad teraźniejszy, Władysław Bzowski, którzy wówczas graniczący z Kolbuszową Smolas posiadali. Po obiedzie zasiadano w salonie przed kominkiem, który ś. p. Konstanty Rucki bardzo lubił, a czas na gawędce mijał niepostrzeżenie. Nigdy nie zapomnę tych miłych chwil, gdy staruszka matka ś. p. Ruckiego, która w czerstwym zdrowiu dożyła 100 lat, zasiadała obok niego i albo rozmowę ogólną z całą przytomnością prowadziła, lub pieszcząc się ze synem, jakby z dzieckiem, łajała go, że za mało o zdrowie troskliwy. Tak miłego stosunku jak ś. p. Ruckiego ze swoją matką, mało się kiedy widzi. Żelazne to zdrowie było tej osoby, parę lat przed śmiercią dostała zapalenia płuc naturalnie kochający; syn sprowadził najlepszych doktorów; żeby go nie martwić, udawała, że przepisane leki zażywa, lecz zręcznie je wylewała, gdyż nie chorujac nigdy w życiu wstręt do lekarstwa miała, a dostawszy pragnienia na piwo, kazała sobie go w sekrecie podać i niem się wyleczyła. Po paru latach zasnęła bez cierpień na rękach kochającego i kochanego syna.

Z dalszych polowań, które ś. p. Rucki dzierżawił, był Kamień, knieja należąca do państwa niskiego; tam zjeżdżaliśmy się na dwa dni, Rucki brał swoją kuchnię, a na leśniczówce była nasza kwatera. Najmilsze wspomnienia pozostały mi jednak z polowań w Rudniku, majętności wówczas starego hr. Hompescha, ojca ś. p. posła naszego do Sejmu i Rady państwa, który polecił raz na zawsze swemu nadleśniczemu, Stillerowi, aby tylko na żądanie Ruckiego polował. Ś. p. Rucki brał kuchnię i służbę ze sobą i miał oddany do dyspozycyi swej bardzo ładny zameczek myśliwski niedaleko lasu.

Zameczek składał się na lewo od sieni z ogromnej sali, z kominem na pół szerokości ściany, na którym ciągle ogień płonął, po drugiej stronie sieni, były dwa pokoje z piecami, a wprost sieni izby dla służby i kuchnia. Że lasy Rudnickie mają objętości około 13.000 morgów, a jedne knieje obfitują więcej w lisy, drugie w sarny, polowaliśmy tam zwykle do roku dwa razy t. j. w jesieni i zimową porą, po 3 do 4rech dni. Towarzyszami tych polowań byli dwaj Bzowscy, Władysław, były prezes w Lisowicach, nieżyjący już jego brat, ś. p. Konstanty i ja.

Ja mieszkałem z Ruckim w dużej sali z kominem, bracia zaś Bzowscy na drugiej stronie. Ś. p. Rucki wesołego usposobienia, miał talent upatrzyć zabawną stronę wszędzie. Otóż wypatrzył, że ś. p. Konstanty Bzowski przy ubieraniu się rano, całą służbę koło siebie zatrudniać umie. Rucki miał kucharza, lokaja i strzelca, ja miałem chłopaka, lecz gdy żadnego doczekać nie mogliśmy się domyślił się Rucki kto ich zatrudnia, a przeszedłszy na drugą stronę i widząc wszystkich krzątających się około ś. p. Konstantego, zaczął mu sam usługiwać i wtenczas dopiero ś. p. Konstanty pomiarkowawszy się, nuż wujaszeczka przepraszać.

Jak swobodnie i miło czas nam tam schodził, to każdy prawdziwy myśliwy zrozumie, gdyż z prześlicznem polowaniem, na którym padało 12 do 18 rogaczy, 20 do 40 zajęcy i kilka lisów dziennie, połączona była prawdziwa swoboda wieczorem i brak wszelkiej etykiety.

Nadleśniczy Stiller był codziennym gościem Ruckiego na obiad. Niech mi wolno będzie przy tej sposobności poświęcić parę słów ś. p. Stillerowi. Już wówczas był to człowiek niepierwszej młodości, lecz jeszcze silny i trzymał się dobrze. Leśnik znakomity, a myśliwy z niezwykłem zamiłowaniem do zwierzyny przez siebie chodowanej i pielęgnowanej, kochał ją formalnie, a gdy ktoś wypadkiem kozę zabił, co się prawie nie wydarzało, to patrzał na niego jak na zbrodniarza. Sam bardzo mało strzelał,

a stanowisko dla siebie wybierał po środku. Wszędzie były płotki w półokrągło pogrodzone, a na łąkach między lasami, gdzie często stanowiska wypadały, ze świerków żywych porobione. Raz na takiej łące byliśmy świadkami zabawnej sceny. Stiller zasiadłszy na krześle za wysokim płotkiem, postawił strzelbę i gdy tabaczkę z całym spokojem zażywał, lisiura jakby drwiąc z niego przez całą łąkę, szeroką na 100 do 120 sążni, przyszedł do samego płotka niepostrzeżony przez niego —dopiero na krzyk „pilnuj" porwał za strzelbę, lecz szczęściem dla lisa zapóźno. A że ś. p. Stiller, o ile zające i sarny kochał, o tyle lisy prześladował, nie mógł sobie tej nieuwagi darować.

W jednym roku, już nie pomnę w którym, było mniej swobodne, ale pomimo tego prześliczne polowanie. Mniej swobodne, bo z polecenia hr. Hompescha zostali zaproszeni pułkownik, hr. Belcredi i podpułkownik Lasarini, od huzarów stacyonowanych w Łańcucie, a prócz tego jeszcze parę osób, nie należących do naszego małego kółka.

Właśnie przed samym polowaniem zakradło się do lasów Rudnickich parę wilków, a głównie buszowały w rewirze grobelskim, odznaczającym się ilością sarn. Tutaj pierwszego dnia ubitym został wilk przez podpułkownika Lasariniego, który prócz w menażeryi nigdy wilka nie widział, to też radość jego z tego powodu była aż zabawna. Wilk ubity przez niego był samcem starym zwykłej wielkości.

Na drugi dzień polowaliśmy w rewirze Rudnickim. Gdy leśny pogonkę obstawiał, spostrzegł wilka wchodzącego właśnie do miotu, przytomny strzelił, aby uwagą już rozstawionych myśliwych pobudzić. Nie wyszło może 3 minuty, gdy nie daleko odemnie padają cztery strzały, jeden po drugim. Po miocie dowiadujemy się, ze wilk nastraszony strzałem w pogonce, wypadł jak wściekły na ś. p. Henryka Christianego, doskonałego strzelca, który go zaraz pierwszym strzałem śmiertelnie ranił, lecz gdy wilk pomimo drugiego strzału, jeszcze powoli umykał, porwał drugą strzelbę od strzelca i postępując za wilkiem, ostatecznie go dobił.

Był to wilk niezmiernej wielkości, prawdziwy wyskok natury, wielkości konia fornalskiego, łeb miał ogromny, a postawiony obok zabitego poprzedniego dnia, wyglądał przy nim jak matka przy szczenięciu. Nie miałem pojęcia, aby wilk mógł dojść do tych rozmiarów, to też Stiller posłał go zaraz do muzeum w Wiedniu, lecz o ile mi wiadomo, próba wypchania go nie powiodła się.

Ś. p. Rucki łagodnego usposobienia lecz bardzo stanowczego charakteru, posiadał wyjątkowy urok i talent zjednywania sobie ludzi, tak służby jak i swoich znajomych. Służba jego byłaby za nim w ogień skoczyła, a ci, co z nim w stosunek ściślejszy weszli, byli nim formalnie oczarowani. To prawda, że natura obdarzyła go nie zwykle hojnie, — piękny człowiek, ze zdrowiem szalonem, któremu nigdy za gorąco ani za zimno nie było, humor spokojny, jednostajny, dowcipny bez uszczypliwości — jednał sobie wszystkich serca. Zwykle pił jedynie wodę i tę lubił, lecz widziałem go w towarzystwie młodzieży i wojskowych pijącego z jednemi piwo, z drugiemi wino, naprzemian, a gdy tamci porządnie pijani byli, on niezmiennie ten sam pozostał.

Dawniej robiono futra do podróży z klamrą u góry, zapinane na haftki. Pamiętam gdyśmy raz na 16 do 18 stopni mrozu razem saniami na polowanie jechali, Rucki nie mogąc zapiąć futra, naklął na wymysł niemiecki, zrzucił futro, i w małym futerku myśliwskim jechał dwie mile do kniei, a patrząc na niego, odziany dwoma futrami, zazdrościłem, że mu tak ciepło, bo rzeczywiście nigdy nie ziąbł.

Ilość większa zwierzyny i lepsza broń wytworzyła dobrych strzelców dzisiaj bardzo wiele, lecz tak dobrego oka i pewnej ręki, jak ś. p. Ruckiego, ja przynajmniej nie znałem. Raz przechodząc z miotu do miotu widziano, jak jarząbek usiadł na bardzo wysokiej jodle, jak zwykle przyczaił się do drzewa tak, że go dokładnie dojrzeć nie można było, jedni utrzymywali, że to plama na korze, drudzy, że to może być jarząbek. Polowaliśmy na dziki ze sztućcami, gdy tak medytujemy, nadchodzi Rucki, popatrzył w górę i powiada: „zaraz się przekonamy", strzelił kulą a jarząbek padł na ziemię.

Ś. p. Rucki miał zawsze doskonałe psy legawe, lecz najlepsze dwa, jakie kiedykolwiek znałem, były jego dwa angielskiej rasy psy białe z płatkami kasztanowatemi, ojciec i syn — starszy nazywał się Tref, a młodszy Wisus. Zawsze oba psy jechały z nim na polowanie i nigdy nie było wypadku, aby jeden drugiemu przeszkadzał. Jeden szukał na lewo, drugi na prawo, a gdy oba czasem na raz stanęły, Rucki szedł do jednego z nich, a drugi tymczasem najspokojniej czekał na swoją kolej. W zimie brał jednego lub drugiego ze sobą na polowanie do kniei. Pies ubrany w futerko zielone, siedział mu między nogami, a Rucki nie potrzebował patrzyć na boki, gdyż pies skręceniem nieznacznym głowy, każdego zwierza mu anonsował. Śliczne to były psy, podobne zupełnie do siebie, zacięte na koty, to też i lisa postrzelonego każdego brały i aportowały.

Lecz zeszedłem na inny temat, gdy właściwie o polowaniach w Rudniku mówić chciałem. Lasy Rudnickie dziś w części przetrzebione, były wówczas w całej pełni swego majestatu. Najpiękniejsza część lasu, rewirem Grobelskim zwana, składa się ze starego drzewostanu olchowego. Gdy przez ś. p. Stillera było dzień pierwej zapowiedziane polowanie w rewirze Grobelskim, już całą noc z emocyi zasnąć nie mogłem, lub drzemiąc na pół, marzyłem o rudlach niezliczonych sarn, lub pomykających lisach. Bo też kto raz tylko w tej części lasu polował, ten tego wspaniałego widoku i miłego uczucia, którego się tam doznawało, już zapomnieć nie mógł.

Olchy niezwykłej grubości, dołem bez podszycia, dozwalały widzieć przed siebie na 400 do 500 kroków, a odporzeliska na bagnach, bogate w żaby, zwabiały do tego rewiru lisy. Mioty tam brano ogromne wyżej 400tu morgów na raz. Cisza tam panowała wiecznie, tak że każdą gałązkę spadającą słyszało się dokładnie, a tego miłego ciepła, jakiego się tam doznawało, pomimo mroźnego powietrza, nie doświadczyłem nigdy.

Zaledwo się rozstawiono i pomimo, że naganiaczy jeszcze ani słychać nie było, gdy już przedstawienie się zaczęło. Jeden rudel sarn dążył pomału na lewo, tam dalej drugi na prawo, to znowu lisiura myszkujący przystawał, przysłuchiwał a raptem podskoczywszy, dążył wprost do ciebie, lub znów kierunek zmieniał, a tak rozkoszne przedstawienie trwało godzinę, dopiero gdy pogonka się zbliżała, rozpoczęła się kanonada, a rudle sarn i lisy przemykały na lewo i prawo.

Służba leśna składała się przeważnie z Czechów, bardzo porządnych ludzi i znających las dokładnie, pomimo tego mieliśmy raz tragi-komiczny wypadek, bo z osta

Walka łosi.

tniego miotu, który się zapewnie nie skończył później niż o godzinie 4tej wieczór, zabłądziwszy w kilkanaście sań, powróciliśmy do zameczku na obiad o godzinie 12tej w nocy. Szczęściem, że noc była śliczna księżycowa i że prócz głodu zimno nam nie dokuczyło.

Jak na początku mego opowiadania, nadmieniłem, zameczek stał przed lasem, a że kucharz pomyje do ogrodu wylewał, lis zwabiony miłym zapachem, przyszedł tam na kolacyę. Ktoś ze służby wypatrzył go przez okno i dał nam znać, lecz brak nam było sztabowca do ułożenia kampanii na lisa domowego, gdyż uszedł zdrów niecnota. Sekret takich polowań posiada p. Teofil Żurowski, gdyż z jednej stodoły pod ogrodem aż 9 lisów ubił.

Ostatniego dnia polowań kuchnia powracała do domu, a myśmy rozjeżdżali się wieczór z ostatniego miotu, że gnając te śliczne knieje i wynosząc miłe wspomnienia. Lecz wszystko ma koniec na tym świecie, stosunki zmieniły się. Syn hr. Hompescha, ś. p. nasz poseł, objąwszy Rudnik, zamieszkał tam a polowania ówczesne tylko jedynie w pamięci nas dwóch pozostałych, p. Władysława Bzowskiego i mojej utrzymywały się.

Dzieląc się memi wspomnieniami z czytelnikami *Łowca* i dodam, co ogólnie zapewne wiadomo, że ten piękny majątek powrócił dzięki Bogu w polskie ręce, kupił go po śmierci Hompescha, profesor hr. Stanisław Tarnowski, a miejmy nadzieję że i zwierzyna opiekę należytą tam znajdzie. *Stefan Prek.*



Jeszcze o psach myśliwskich.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę jak najwyraźniej, że nie miałem i nie mam pretensyi, jakobym wypowiedzeniem mych uwag lub mego zapatrywania tak w poprzedniej mej korespondecyi jak i obecnie, otwartą kwestyę psów myśliwskich stanowczo miał rozstrzygnąć, przypuszczam tylko, że im więcej jakaś kwestya jest omaczaną, im więcej w pewnej sprawie zdań i uwag się wypowie i one ze sobą się zetrą, tem sprawa ta jaśniejszą się staje i tem łatwiej potem przyjść do wnioskow konkretnych. To mając więc przekonanie pozwolę sobie jeszcze kilka skromnych uwag wypowiedzieć.

Że nędza nasza pod względem psów legawych nie jest mojem urojeniem, ale rzeczywistością, to chyba nie ulega żadnej wątpliwości i w tym kierunku przytoczę choćby ten dowód, że w ostatnich kilku numerach *„Łowca“* z roku ubiegłego czytać można było korespondencye z różnych stron naszego kraju, a w których wszyscy korespondenci zgodnie na psy nasze utyskują, i chyba się zupełnie nie mylę, twierdząc, że w rzeczywistości brak nam dobrego materyału z małym tylko tu i ówdzie wyjątkiem — pomijajając psy będące własnością może kilku łowców majętnych, którym poświęcenie znaczniejszych kosztów w celu posiadania psa dobrego nie robi różnicy, a i te psy są z pewnością importowane.

Szanowny autor artykułu w Nr. 22 *„Łowca“* z r. ubiegłego, p. J. Samolewicz, powiada, że temu zaradzić

łatwo, bo kto chce mieć psa z dobrego gniazda, ten z pierwszej lepszej gazety niemieckiej dowie się o zawodowych psiarniach i z tamtąd go sprowadzić może.

Ależ właśnie o to mi najbardziej chodzi, by my takie psiarnie mieli w dostatecznej liczbie w kraju i nie potrzebowali się udawać do Czech lub Niemiec, skąd sprowadzenie psa znaczniejsze pociąga koszta, ostatecznie nie daje żadnej gwarancyi i co ważną okoliczność stanowi, dla mniej zamożnych, uniemożliwia osobiste dokonanie wyboru, boć trudno do kosztów znacznych, przy samem sprowadzeniu psa powstałych, dołączać ogromne koszta podróży aż po za granice kraju przedsiębranej umyślnie w tym celu, by psa wybrać. Przypuśćmy zresztą, że ktoś sprowadza psa, to jeszcze nie koniec, sam bowiem wytresować nie umie, więc trzeba go dać do tresury, tak jednak sprowadzonego psa dać do tresury komuś nieznanemu, poprostu na podstawie pierwszego lepszego anonsu każdy się waha, więc w końcu sam się z nim zabawia, a że po największej części nie umie, więc rezultat sprowadzenia, że za drogie pieniądze ma się wprawdzie z zewnętrznego wyglądu psa pięknego, ale psa gałgana, w niczem nie przewyższającego każdego psa krajowego.

Tu więc zaraz okazuje się, jaka ogromna korzyść byłaby gdyby klub egzystował i pod swoim zarządem miał psiarnie. Przedewszystkiem więc dla małych kosztów podróży, możnaby mieć możliwość osobistego wyboru, miałoby się gwarancyę większą, a w każdym razie byłaby możliwość przed zakupnem osobiście oglądnąć to, co się kupić ma, w końcu idąc za wskazówką klubu, każdy mający do tego ochotę, mógłby z całem zaufaniem powierzyć psa komuś do tresury, mając już z góry pewność, że wyłożone koszta nie pójdą na marne. Cel więc takiego klubu, gdyby istniał, zdaje mi się jest całkiem jasny, a korzyść dla myśliwych ogromna.

Nie ujmuję zupełnie wartości przytoczonym przez szanownego autora, dwom krajowym psiarniom, ale te dwie psiarnie, potrzebie całego kraju zadość uczynić nie mogą. Cóż mi, przypuśćmy, ze świetnej hodowli setterów w Oknie, gdy ja chcę mieć psa niemca nie settera.

Co do tego, że się i u nas słyszy, iż za psa płaci się 150 do 200 zł., to nie chcę i nie śmiem przeczyć, ale ja tego nigdy nie słyszałem, płaci się tyle, to prawda, ale wtedy, gdy się sprowadza i jeżeli się słyszy, to tylko o takim psie. Za mniejszą kwotę niż 100 zł. wychować i wytresować psa absolutnie się nie opłaca, a tę kwotę tak bardzo trudno uzyskać, wyraźnie mówię choćby pies nic do życzenia pod względem tresury nie pozostawiał, że nie ma zupełnie czemu się dziwić, iż zawodowi nasi leśnicy do tego się nie biorą. — Nie jest to wcale typowe błędne koło i nie dlatego ceny nie ma, bo psów dobrze ułożonych nie ma, lecz dla tego psów nie ma, że nie ma odpowiedniej ceny. Wszak gdy kto kupuje, może z góry postawić warunki, jakim pies ma odpowiadać, może go wprzódy wypróbować i dopiero potem zapłacić lub nie kupić wcale — ale czyż można chować i tresować psa po to, aby wystawiszy go na sprzedaż otrzymać cenę nie pokrywającą nawet kosztów hodowli lub co najwięcej otrzymać cenę same koszta hodowli pokrywającą? Zaręczam, że gdyby były jakieś widoki zarobku, to znaleźliby się ludzie, którzyby i założyli odpowiedne gniazdo i psy dobrze wytresowaćby potrafili, bo znów tresura psa nie jest tak nadzwyczajną rzeczą, by tylko jakaś szczególnie uposażona narodowość miała ten talent, a my go mieć nie mogli — wiele dobrej i silnej chęci, trochę cierpliwości, potrzebny czas, trochę sprytu, no i trochę rutyny, (którą nabyć można) a pies jest wytresowany — byle należycie zapłacono. Że „Übüng macht den Meister“ nie da się temu zaprzeczyć, ale wybaczy mi szanowny autor, iż pozwolę sobie twierdzić przeciwnie, a mianowicie że i do rewiru umiarkowanie w zwierza obfitującego potrzebny jest także pies dobry, z może nawet lepszy, aniżeli w rewirze, gdzie rzeczywiście zwierza jest dużo—tu źle wystawiony lub spłoszony ptak da się w krótkim czasie powetować innym, w rewirze jednak, gdzie zwierz jest rzadki, spotkany wielką odgrywa rolę i tu właśnie chodzi o to, by każdy był dobrze wyszukany i wystawiony, bo gdy ujdzie, trzeba będzie znowu dłuższy czas szukać, nim się drugi znajdzie. Tu więc pies posiadać musi wszystkie przymioty w całej pełni i musi być tak ułożonym, by dał sobą zupełnie powodować mimo mniej sprzyjających warunków. Wykluczając rozprawę nad zupełnie pustym rewirem, gdzie ani myśliwy ani pies nie mają nic do roboty, to co do rewiru mało w zwierza obfitującego, gdy tu zajdzie wypadek, o którym szanowny autor mówi, że będzie pies harcował, wykluczając już z góry możliwość dobrego przez tresera prowadzenia“, to tu już jest wina samego tresera, gdyż już przy pokojowej tresurze powinno się psa przyuczyć raz na zawsze, że taki wypadek nigdy zdarzyć nie może i że pod tym względem reguła obejść się musi bez wyjątku. Że tu się właśnie wartość tresury „par force“ okaże wyższą nad wszystkie inne sposoby bez wyjątku, to o tem nie ma co mówić.

Myśl założenia klubu nie jest moją, była już przedtem w „*Łowcu*“ podniesioną, zdaje mi się jednak, że mimo tak pesymistycznych zapatrywań szanownego autora, klub taki, gdyby powstał, zdziałać by mógł bardzo wiele, jeżeli się tylko z góry nie wypowie „szkoda czasu i atłasu“. Ja również jestem tego zdania, że aby się jakakolwiek sprawa udała, musi być oględnie przeprowadzoną, musi być z góry dobrze obmyślaną i przewidzianą, aby jednak tę sprawę w tak wolnym przeprowadzać tempie, aby ją rozciągać, aż na lat kilkanaście, to, może tu się mylę, jeśli inne mam zdanie — ale to trudno, to już nie zgadza się z mojem usposobieniem — jeżeli się coś robić ma, to robić rozważnie i oględnie, ale robić energicznie i prędko, bo przewlekanie sprawy, aż na lat kilkanaście, zdaje mi się, prędzej ogół zniechęci, bo skutków nie widząc, straci każdy ostatecznie wiarę w możliwość udania się sprawy. Zdaje mi się zresztą, że aby dziś zawiązywało się towarzystwo dla chodowli psów, w tym celu, aby aż dopiero po latach „kilkunastu“ osiągnęło niejaką poprawę psów, to ten skutek tej pracy byłby i tak odległy i tak mały, że rzeczywiście wartoby się było wprzód zastanowić nad tem, czy osiągnięty skutek wart będzie całej pracy i zachodu, czyli „czy stanie skórka za wyprawę“. Co do mojej propozycyi, aby rasę niemiecką forytować przed angielską, to tu szanowny autor sam przyznaje, że psy niemieckie lepiej tresurę konserwują, a o to właśnie jak najwięcej chodzi. Sama twardość w tresurze mniejszą odgrywa rolę, póki pies jest w ręku dobrego tresera, zresztą wcale nie jestem pessymistycznie do anglików usposobiony, ale według mego przekonania dla naszych wymagań i naszego terenu polowania rasa niemiecka bardziej odpowiada. Zresztą, gdy jak szanowny autor mówi, „psy angielskie albo są znakomite, albo do niczego, niemcy zaś zawsze dobre“, to co do mnie, jeżeli mam do wyboru między zna-

komitem lub kiepskiem, to bojąc się tego kiepskiego wybrałbym zawsze środek t. j. dobre. Co do krzyżowania pointerów z pudlem, to takich psów nie widziałem sam jeszcze, nic więc orzekać nie mogę — pozwoliłbym sobie na jedną uwagę w tej sprawie. Psy legawe o tyle tylko przedstawiają dla celów myśliwskich wartość, o ile są obdarzone obok dostatecznej inteligencyi nadzwyczajnym wiatrem, którego znów pudel wcale nie posiada w tej dobroci, co psy legawe. Gdy więc psy legawe, (szczególnie z dobrego gniazda), są obdarzone takim zasobem inteligencyi, że absolutnie nie ma rzeczy w ich — że się tak wyrażę — fachu, którejby się nauczyć nie dały, to ze względu, że pudle mają wiatr słaby, krzyżując te dwie rasy, jeżeli nie w pierwszym, to niezawodnie w następnych pokoleniach otrzymamy mieszańce o wietrze niewątpliwie słabszym — wobec tego cóż zyskamy? zyskamy na stopniu inteligencyi nowej rasy, ale jeżeli wiatr się osłabi, to zwiększona inteligencya nie będzie tego równoważyć tem bardziej, gdy zasób inteligencyi psa legawego czystej rasy i z dobrego gniazda jest absolutnie wystarczający do celów myśliwskich. Zresztą w tej sprawie wobec powag tej miary jak przytoczone przez szanownego autora, nic z góry przeceniać nie można.

Co do dawnej krajowej rasy legawej, to tak długi czas jej nigdzie nie widziałem, ani o niej nie słyszałem, że prawdziwie nie wiem, gdzieby był taki zakątek naszego kraju, w którym jej jeszcze nie zepsuto, poprawiając anglikami. Widocznie się jednak pomyliłem — czy się jednak szanowny autor również nie myli utrzymując, że jeszcze po dziś dzień utrzymała się ona w całej swej pierwotności? Muszę jednak stanowczo sprzeciwiać się zdaniu, żeby ona złą była. Że została przez inną rasę wypartą, nie jest to jeszcze dowodem tego, wiele bowiem ludzkich wyrachowań okazuje się w skutkach mylnemi i tu właśnie zaszła pomyłka. Psy te były znakomite, jak dla naszych terenów myśliwskich, miały jednak wadę tę, że były flegmatyczne i dla tego też ją nibyto poprawiano gorącymi anglikami. Według mnie nie jest to wcale wadą, ale poniekąd zaletą, głównie w gorszych rewirach namacalnie się wykazującą, gdzie taki pies nie gorączkuje się zbytecznie. To jednak ich usposobienie, jeżeli nie było powodem, (jak szan. autor twierdzi), zupełnego ich zatracenia, to w każdym razie sprawiło, że są one na wymarciu, a według mnie szkoda ich.

Jak ongi żelaźni husarze na żelaznych koniach spadali na łeb turkom i tatarom, rąbiąc na prawo i lewo, gniotąc i druzgocząc wszystko przed sobą, tak p. Kisielewski spadł na mnie, rąbiąc i druzgocząc i mój projekt i wszystko co w tej sprawie wypowiedziałem. I zaiste zdawałoby się, iż nie pozostaje mi już nic innego, jak uczynić to samiuteńko, co ongi czynili tatarzy wobec groźnych hussarzy, to jest położywszy uszy po sobie, umykać gdzieś tak daleko, by i słuch po mnie zaginął. Wybaczyć mi jednak szan. autor raczy, gdy tego nie uczynię, mając bowiem również niejakie w tej sprawie doświadczenie, (wiele już psich uczniów skutecznie wyedukowałem), i co ważniejsze, czuję się zupełnie na pewnym gruncie — więc sprobuję ten szalony impet ataku wytrzymać i jako tako się bronić, a może nie marząc już o zwycięztwie, uda mi się odeprzeć ten atak choć o tyle, by nie w rozsypce ale w porządku wrócić za okopy, i tam się schować przed dalszą polemiką.

Z samego założenia wychodząc, nie mogę się zgodzić ze szan. autorem co do jego określenia znaczenia wyrazów „rutyna i doświadczenie“. Rutyna bowiem jest to wprawa, jak słusznie szan. autor powiada, ależ wprawy nabyć można w jakiejkolwiek czynności tylko i jedynie przez wielokrotne wykonywanie tejże, gdy się zaś jakąś czynność jednę i tę samą przez dłuższy czas wykonywa musi się bezwarunkowo nabyć doświadczenia — wprawa więc czyli rutyna i doświadczenie jest nierozdzielnem dla mnie pojęciem, to znaczy, że gdzie jest rutyna, tam musi być i doświadczenie i myli się szan. autor mówiąc, że rutynę z książki nabyć można, tylko teoryę z książki się nabywa — rutyna, ta już przez dłuższe wykonywanie pewnej czynności tylko sama przez się przychodzi, stanowiąc jak dla mnie nierozdzielną całość z doświadczeniem.

Dziwi się szanowny p. Kisielewski po co i w jakim celu ja potrzebuję tak długiego czasu do wytresowania psa, przyczem zaznacza, że przy zastosowaniu jego sposobu tresury czas czterotygodniowy zupełnie wystarcza, by pies był gotów.

Ponieważ p. Kisielewski radzi zupełnie słusznie, brać psy do tresury co najmniej sześciomiesięczne — więc w wypadku, gdy w sierpniu lub wrześniu dostanie się sześciomiesięcznego psa do tresury, to przypuścimy, że będzie to dobrze, lecz cóż robić z psem własnym, przypuśćmy, którego się chce wytresować i sprzedać wobec tego, że ten pies pochodzi z miotu jesiennego, dajmy na to, z miesiąca września. Pies taki ukończy 6 miesięcy w lutym, bierze się go teraz do tresury pokojowej, kurs praktyczny jednak odbyć się teraz nie może, trzeba więc czekać najwcześniej sierpnia roku przyszłego, zatem pies ma okrągło rok, gdy się go w pole dopiero wyprowadza. Chcąc zaś tego psa mieć „hasenrein“, trzeba z nim polować jeszcze i w październiku, zatem, gdy się psa wystawi na sprzedaż ma okraglo 15 miesięcy, czyli rok i 3 miesiące. Jeszcze gorszy stosunek będzie, jeżeli ten pies pochodzi z miotu wiosennego, przypuśćmy z maja lub czerwca, bo pies będzie „hasenrein“ dopiero po upływie października roku przyszłego, zatem będzie miał rok i pięć miesięcy.

Zresztą czas potrzebny do tresury psa zależy od tego, kto i jak pojmuje tresurę. Jeżeli się tresuje dajmy na to z grzeczności i bezinteresownie, wystarczy po dokładnej tresurze pokojowej, w kursie praktycznym, zająć się nim o tyle tylko, by mu dać niejako derektywę tego, co w polu ma robić, a oddając psa właścicielowi, dać wskazówki, co i jak w danym razie z psem zrobić ma — inaczej jednak przedstawia się rzecz, gdy kto psa kupuje za gotówkę i jeszcze wyraźnie zapowiada, że pies n. p. ma być „hasenrein“. „Hasenrein“ nazywam nie takiego psa, który za zającem skoczy, a tylko na krzyk lub gwizd, wróci się lub przystanie, ale takiego, który jak mur stoi w miejscu, gdzie zająca wystawił i najspokojniej się patrzy, jak zając ucieka, a po strzale dopiero na rozkaz „apport“ idzie i przynosi. Nie zechcę twierdzić p. Kisielewski, że potrafi psu tak wyłożyć „na rozum“ przy tresurze pokojowej, co pies ma czynić będąc już w innych rękach gdy po raz pierwszy pan jego zająca strzeli i chybi i by sobie przypomniał, że jest to właśnie zwierz zającem zwany, za którym gonić nie trzeba. Aby pies był „hasenrein“, tak jak ja pojmuję, musi się przy nim bodaj kilka zajęcy zabić a więc polować aż w październiku. Czy mam więc słuszność, twierdząc, że pies tresowany,

aby był dobrym, kwalifikuje się do sprzedaży dopiero po ukończeniu pierwszego, a często i drugiego pola? Zresztą młodość to płochość, siedmiomiesięczny szczeniak wytresowany, przeszedłszy w inne ręce jako jeszcze niedoświadczony w polu, (za krótko był bowiem w rękach tresera, w kursie praktycznym), będzie się przy lada sposobności gorączkował i wyłamywał z apelu, a jeżeli raz i drugi zostanie zbałamuconym — niesłusznie obitym, czyż nie zepsuje się zupełnie? Stanowczo twierdzę tak. Zresztą czterotygodniowa tresura, to stanowczo za krótka tresura, by można po tym terminie sprzedawać psa jako zupełnie wytresowanego, przypuśćmy myśliwemu, który robi sobie koszta nie na to, aby kupiwszy psa tresurę uzupełniał, lecz na to, aby miał psa zupełnie i skończenie doskonałego.

Na pytanie, kto nabędzie psa takiego — to pomijając opisane przykre stosunki majątkowe urzędnika, zawodowego leśnika, a nawet w dzisiejszych ciężkich czasach niezupełnie wesołe stosunki posiadacza większej własności, odpowiem, że tak jak każdy myśliwy, ale zamiłowany myśliwy stara się, choćby z pewnemi ofiarami, nabyć broń rzeczywiście dobrą tak z zewnętrznego wyglądu jak i z dobroci strzału, a już bodaj, by mniej ozdobnie wyglądała ale była dobrą w strzale, aby nie wybijał Panu Bogu szyb, lecz strzelał z pewnym skutkiem, tak niezawodnie uczyni pewne ofiary, aby nabyć psa, przy którymby nie potrzebował wykrzyczeć płuc na polowaniu, lub ubiwszy kaczkę nie posyłał chłopaka, by ją z wody lub szuwaru wyniósł, podczas gdy pies stojąc na brzegu przypatruje się, jak chłopak po wodzie brodzi, a w razie trafienia na zająca nie potrzebował siąść i czekać, aż pies straciwszy nareszcie zająca z oczu wróci, by należycie obity przy pierwszym napotkanym, powtórzył to samo „*da capo al fine*“, co szczególnie jest miłem, gdy dużo jest zajęcy. — Komu zaś na to nie starczy, a sam sobie nie może strzelby zrobić a psa wytresować, musi się obchodzić strzelbą tanim gałganem i takim samym psem.

Ja tresuję psy zawsze i tylko „*par force*“ i również wyszedłem zawsze niepokonanym zwycięzcą, i również, jakkolwiek nigdy tego nie próbowałem, (nie widziałem w tego rodzaju próbach żadnego celu), to przecież jestem tego niezłomnego przekonania, że także tym sposobem każdy kundys ułożyć się da, zatem ułożenie kundysa nie jest według mnie ani żadną nadzwyczajnością, ani miarą dobroci sposobu tresury. Zresztą tresura „*par force*“, to wypróbowany sposób, według którego tresują Niemcy i Czesi, a to nie podlega żadnej kwestyi, że tam są dobrze psy tresowane. Wprawdzie i ja czasami zwracam się na drogę, jaką p. Kisielewski wskazuje, ale to tylko w niektórych specyalnych wypadkach, n. p. gdy pies jest tak dalece nerwowy, że strzału się boi, wtedy pomijając bezwarunkowo, ten wyraz podkreślam, wskazywaną przez niektórych autorów metodę, ujęcia psa na smycz i strzelania z kabzli, staram się pobudzić inteligencyę psa, by pojął, że huk strzału niczem mu nie grozi, a jest niejako komendą „baczność, bo zwierz leży“.

Zresztą jakkolwiek sposób tresury przez p. Kisielewskiego, stosowanej w wielu punktach, do przekonania mnie nie trafia, nie chcę ani polemizować w tej materyi, ani się sprzeczać, czyj sposób jest lepszy — wszak tresura „*par force*“ to wcale nie mój wynalazek, ale, że ona jedynie jest odpowiednią, to nie ulega kwestyi, czego najlepszym dowodem jest właśnie to, że p. Kisielewski, zresztą zdaje się zupełnie nie chcący, sam to potwierdza. Na dowód tego przytoczę jego własne słowa (Nr. 1 str. 7), gdzie szanowny autor wskazuje aż trzy stopnie zaostrzające w celu zmuszenia upornego psa do apportowania, a gdyby i to wszystko nie pomogło, mówi, „to natenczas potrzeba koniecznie wrócić do pierwszego terminu t. j. do siadania i podać psu patyk do trzymania w pochwycie i noszenia za nogą, a skutek będzie niezawodny“. Że skutek będzie niezawodny to i ja ręczę, kto zna jednak sposób tresury „*par force*“, ten wie, że temi słowami poleca p. Kisielewski uczyć psa aportowania w sposób taki, jak to wskazuje tresura „*par force*“, jeżeli więc mam tę metodę porzucić i wziąć się do innej, aby znów wrócić do pierwotnego sposobu nauczania, to wolę pozostać nadal przy nim a będę miał tę pociechę, że nie będę po trzech nieudałych próbach „wracał znów do pierwszego terminu“, ale odrazu z pierwszym się załatwiwszy, bez wracania się już pójdę do drugiego. — Różnica cała byłaby ta, że p. Kisielewski daje początkowo zanim pies rozumie słowo „apport“, zasuszony chleb, aby pies sam brał, ja naciskiem na korale zmuszam psa brać kawał patyka, a korale w tym wypadku tak pobudzająco działają na psią inteligencyę, że tenże manipulacyę z patykiem tak dobrze pozna, jak i z chlebem. Do zmuszania psa do podnoszenia ze ziemi nie używam, jak hr. Sumiński radzi — kółka w podłodze i linewki, co jest nawiasem powiedziawszy bardzo dobre, a to jedynie z tej przyczyny, że nie posiadam próżnej ubikacyi do tresowania psów, ale tresuję w mojej szczupłej kancelaryi, zastawionej do trzech czwartych przestrzeni sprzętami, zatem nie ma tu miejsca na kółko i linewkę — jeżeli przeto pies nie chce wziąć w pysk rzuconego przedmiotu, biorę go poprostu na korale, prowadzę lub ciągnę, w razie potrzeby, do niego, pokazując i mówiąc „apport“, a gdy pies w pysk weźmie i trzyma wracam się na miejsce skąd rzuciłem i mówię „tu apport“.

W ten sposób prowadzona nauka tak dalece zaprowadzi dobrze do celu, że nigdy nie potrzeba będzie wracać „do pierwszego terminu“, po użyciu aż trzech sposobów zaostrzających.

Cierpliwość, jaką hr. Sumiński zaleca, jest niezbędną, tylko p. Kisielewski źle ją zrozumiał. Nie oznacza to, aby psa nie skarcić, gdy potrzeba, rozchodzi się tu jednak o systematyczność w postępowaniu. Źle zrozumiał także p. Kisielewski zalecenie hr. Sumińskiego: „nie tresuj psa gałgana“. Pod gałganem ja rozumię, a niezawodnie i hr. Sumiński rozumie psa nie pochodzącego z dobrego gniazda lecz z niepewnego pochodzenia, a to dla tego, że jak mówią „nie stanie skórka za wyprawę“.

P. Kisielewski mówi: „kto nie chce bić psa niech nosi zawsze harap w ręku“. Przy tresurze, jakkolwiek nie zawsze, (bo korale znakomicie harap zastąpią), to czasem jest bardzo potrzebny, jeżeli zaś pies po skończonej tresurze wymaga ciągle widoku harapa w ręku swego pana, to co do mnie, pięknie dziękuję za tak wytresowanego psa i za taki sposób tresury. Takiego psa przecież sprzedać nikomu nie można! Po skończonej tresurze pies i bez widoku harapa powinien swą służbę poprawnie wykonywać, gdy jest dobrze prowadzony, a tego li tylko tresura „*par force*“ dokaże.

Również myli się p. Kisielewski, twierdząc, że tresura „*par force*“ nieodzownie wymaga zamkniętej ubikacyi do nauki. Wszystko można robić na otwartem miejscu, byleby nikt i nic nie odrywało uwagi psa a ja nie

raz to robię w lesie. Zamkniętej ubikacyi się używa tylko, by nikt i nic nie przeszkadzało — co do mnie, to mając dwa psy w tresurze równocześnie — przy lekcyi w tymże samym pokoju, kazałem jednemu leżeć na swojem miejscu, a wziąłem do nauki pierwszego. Każdy z nich spokojnie leżąc przypatrywał się, co się dzieje, nie ruszając się z miejsca. Takiego posłuchu tylko tresura *„par force"* psa nauczy.

Po skończonej tresurze pokojowej, to jest chodzenia za nogą, warowania, siadania, „pójdź dalej, pif, apport", co po największej części, ale nie bezwarunkowo uczę w pokoju i dalej „naprzód, nazad, szukaj w prawo, w lewo, szukaj zguby, zaczekaj", co bezwarunkowo uczę na otwartem miejscu w lesie, a co wszystko razem uważam za kurs teoretyczny, który gdy pies jak najbardziej poprawnie i bez zarzutu wykonuje, to dopiero biorę go ze sobą w jesieni lub lecie na polowanie t. j. odbywam kurs praktyczny i pozostawiam go, aż do późnej jesieni t. j. do polowania na słonki w lecie i na zająca w polu, aby był „hasenrein".

Tak wytresowany pies może dopiero być sprzedany.

Przy chodzeniu za nogą wymagam jak i hr. Sumiński, by pies zawsze z lewej strony chodził a to dla tego, że gdy zajdzie czasem potrzeba, choćby dla uczynienia zadość czyjemuś życzeniu, wziąć psa na smycz, to nie chcąc jej w ręku trzymać, upinam ją do torby, a wtedy pies nie kręcąc się z prawej strony na lewą i odwrotnie nie oplątowuje mnie smyczą i nie przeszkadza w chodzeniu.

Być może, że źle zrozumiałem, wnosząc jednak z poglądów i wyrażeń się, odniosłem wrażenie, że tresura *„par force"* nie musi być wyczerpująco p. Kisielewskiemu znaną. Szczególnie upoważnia mnie do tego mniemania zdanie szanownego autora, które na końcu swej pracy wyraża, mianowicie: „wychodzę z psem na polowanie, gdzie kieruję i t. d. bez użycia niepotrzebnych korali i różnego rodzaju linewek i że moralny przymus, jaki wywieram, jeżeli nie przewyższa, to równoważy fizyczny, stosowany przy tresurze *„par force"*.

Rozchodzi mi się o różnego rodzaju linewki. Żadnych i nigdy linewek nie używam przy tresurze w polu, jedynie przy tresurze pokojowej, ucząc psa chodzić za nogą, od czego zaczynam, używam li tylko zwykłej krótkiej smyczy do prowadzenia przy nodze, w polu nigdy i żadnych linewek nie używam, na polowanie bowiem wyprowadzam psa już kompletnie pojmującego, „iż służba to nie drużba" i że najmocniejsza linewka to moja gwizdawka — korale zaś na szyję zakładam zamiast obróży ale bez linewek i to jedynie w celu, by nie nosić harapa, co uważam o wiele dla mnie wygodniejsze, gdy pies niesie korale a ja nie potrzebuję nosić zawadzającego mi harapa w ręku, a w razie jakiegoś choćby przypadkowego nieposłuszeństwa, zawoławszy go do nogi, wytargać za korale i tym sposobem ukarać go i bez harapa. Jest to wiele lepsze, bo pies się przyzwyczaja mieć mores przed panem i wtedy gdy nie widzi harapa w ręku jego. Te korale w polu używam tylko początkowo, wyraźnie to słowo podkreślam, później zupełnie nie używam korali, zastępując ją zwykłą obrożą. Nawet przy uczeniu opornego psa do wody, prócz tej samej krótkiej, żadnych różnego rodzaju nie używam linewek a i tej nie zawsze. Albo postępuję z czółnem, jak p. Kisielewski lub co się również zdarza, gdy w tym wypadku pies idzie wprawdzie we wodę, ale gdy myśliwy zostaje na brzegu, to pies się wzbrania, lub nie rozporządzając czółnem, biorę psa na korale i na smycz i idę z nim razem na wodę — pies widząc, że ja idę we wodę idzie także tak długo, pokąd nie straci pod nogami gruntu, w chwili gdy ja brodzę wodą głębszą, gdzie ja chodzę wprawdzie, ale pies musi już płynąć, to pies się zawaha, ale proste szarpnięcie za smycz lub za korale wystarczy, by tak skutecznie przypomnąć, że rozkaz musi być wykonany, że pies natychmiast „buchnie" w wodę i płynie. Kilkorazowe powtórzenie tego manewru nawet najoporniejszego tak do wody wprawi, że z precyzyą na wodę chodzić będzie.

Co zaś do tego „moralnego przymusu", o którym p. Kisielewski mówi, to jestem niezłomnego przekonania, iż istotę tego moralnego przymusu stanowi harap, który szanowny autor, jak sam mówi, nierozdzielnie ze sobą nosi i każdemu nosić poleca. Powiada szanowny autor, że pies przez niego tresowany nigdy nawet w złych rękach nie zatraca przyswojonej umiejętności — że jej nie zatraca w to wierzę, czy jednak zawsze będzie chciał wykonać przyswojoną umiejętność, gdy nie będzie widział w ręku myśliwego harapa, śmiem wątpić i to bardzo nawet, a wnoszę z tego polecenia szanownego autora, że i on sam nie bardzo w to wierzy, gdy nawet już po zupełnie skończonej tresurze, poleca zawsze nosić ze sobą harap, jako środek zapobiegający nieposłuszeństwu, samo bowiem to polecenie wskazuje, że w razie niestosowania się do niego zajdzie obawa, iż pies posłuszeństwo wypowiadać będzie, ja zaś twierdzę, że stanowczo wypowie mniej lub więcej zależnie od swego temperamentu i od tego, czy w mniej lub więcej umiejętnych w prowadzeniu psa znajduje się rękach.

Pies legawy jest obdarzony zanadto silną inteligencyą na to, by nie poznał w krótkim czasie, w jakich jest rękach i gdy tylko nabędzie przekonania, co mówię bardzo prędko nastąpi, że pan jego jest miększego charakteru, niż ten, co go tresował, zacznie niezawodnie próbować wyłamywać się z apelu, jeżeli pan jego ma zwyczaj harap w domu zostawiać, a byle w tym wypadku początek się psu udał, to już ta sprawa pójdzie *„crescendo"* i pies będzie co raz bardziej sobie pozwalał, aż się rozhula zupełnie a potem już i harap nie pomoże. Po każdej admonicyi pies się otrzepie, będzie na około pana swego radośnie skakał i przy pierwszej sposobności znów to samo zrobi. Tresura *„par force"* obok tego, że wcale nie zatępia w psie wrodzonej inteligencyi, czyni z psa, że się tak wyrażę, maszynkę co do „apelu" i pies tak tresowany, już rzeczywiście musi być w bardzo złych rękach, aby tresurę zatracił, w każdym razie stanowczo nastąpi to nie zupełnie i nie w tak krótkim czasie, i pod tym względem szanowny autor raczy mi wybaczyć, iż stanowczo postawię wyżej sposób tresury *„par force"* od jego sposobu tresury i niezawodnie uczyni to każdy, który takiego psa choć raz miał w swym ręku.

Powiada dalej p. Kisielewski, że oddając psa tresowanego komuś w ręce, wystarczy pouczyć, co w tym lub tym wypadku ma czynić, ależ kto tresowanego psa kupuje a przynajmniej jabym to uczynił, ten żąda, by pies był wytresowanym tak, aby wcale nie zachodziły wypadki potrzeby uzupełniania tresury, tem bardziej, gdy sam nie chce lub nie umie tresować, a gdy przecież dobrze psa prowadzi, inaczej traci się niepotrzebnie pieniądze na tresurę psa i króciej, a w każdym razie taniej zamiast za-

płacić i tresurę uzupełniać, samemu go wytresować. Również stanowczo nie zgodziłbym się, kupując psa na tę alternatywę, albo nie rozdzielać się z harapem albo mieć psa, który wcześniej lub trochę później zacznie się wyłamywać z apelu.

Tyle co do samej tresury. Nadmienić tu jeszcze muszę, iż stanowczo zostaję przy swem zdaniu co do inteligencyi wrodzonej u psów z dobrego gniazda pochodzących, w porównaniu jej do psów niepewnego pochodzenia. Porównanie autora pod tym względem psa do człowieka, może wyjść li tylko na korzyść mego zdania, albowiem jak człowiek, który z natury nie posiada talentów, przez usilną pracę wprawdzie nabędzie potrzebnej mu wiedzy, to przecież nabycie tej wiedzy, nie przyjdzie mu z taką łatwością, jak człowiekowi z natury już talentami obdarzonemu, a w końcu człowiek bez talentu mimo usilnej pracy nigdy nie dosięgnie w życiu tego stopnia inteligencyi ogólnej jak i fachowej, jakiego dosięgnie człowiek z natury utalentowany nawet przy znacznie mniejszej nad sobą pracy. Tak samo i pies z dobrego gniazda wymaga znacznie mniej pracy i będzie zawsze inteligentniejszy i w ogóle i co do swej służby, aniżeli psy z ladajakiego pochodzenia, choć nie przeczę temu, że i te przez naukę, a głównie przez ciągłe z człowiekiem obcowanie wiele na swej inteligencyi zyskać mogą.

Pozostaje mi jeszcze kilka słów w obronie mego projektu wypowiedzieć.

Jak to już mówiłem, także myśl założenia klubu, to nie moja myśl, ja tylko pozwoliłem sobie tę myśl ująć w pewniejsze nieco ramy.

Nie jedną myśl dałoby się u nas, choć nie przeczę, że z pewnemi trudnościami, to jednak przecież przeprowadzić, ale zwykle wszystko kończy się „naj bude jak buwało“, głównie z tego powodu, że każdy projekt zostaje obmawiany z tak pessymistycznemi zapatrywaniami, że nawet ludzie, którzyby może mieli ochotę podjąć jakąś akcyę w jakiejś sprawie, odrazu zostają tak zrażeni, że poprostu wprowadzić w czyn jakąś myśl staje się nie możliwem. Wszak założenie klubu nie przedstawia tak nadzwyczajnych ofiar materyalnych, aby absolutnie tego wykonać się nie dało, również nie ma tu żadnego obowiązku do klubu należeć — kto nie chce wolną ma wolę — więc dlaczegoż już z góry innym odradzać tak stanowczo twierdząc, że klub taki nic zdziałać dodatniego nie potrafi. Pozwólcie panowie, ale samem wyrażaniem pessymistycznych zapatrywań sprawy psiej wcale się nie poprawi; jeżeli coś się ma poprawić, to trzeba mniej mówić, a działać nie w ten, to w inny sposób. Projekt każdy, zanim się go w czyn wprowadzi można ulepszyć, zmniejszyć, rozszerzyć, w końcu przerobić, nawet tak dalece, że stanie się niepodobnym do swego pierwowzoru, ale obaj szanowni przeciwnicy, zgadzając się w zasadzie, że tak jak jest, jest źle, nie podają żadnego lepszego, a nawet w ogóle żadnego projektu swego, tylko mówią: „dajcie pokój to źle, nic z tego nie będzie“. W ten sposób stanowczo sprawy się nie poprawi, a tylko ludzi chętnych może się zrazić. Czekaniem — jak p. Kisielewski mówi — aż ktoś majętniejszy sam do tego się weźmie, również nie wiele się wskóra przy dzisiejszych ciężkich czasach, dla jednego byłyby to stanowczo za wielkie koszta poniesione nie dla swej potrzeby, lecz dla celów ogólno łowieckich i możebyśmy zbyt długo czekali, aż się w końcu wcale nie doczekali. Sądzę, że łatwiej ofiarę materyalną ponieść spółce niż jednostce, bo w spółce ta ofiara będzie mniejszą.

Okrzyk jaki p. Kisielewski w swej pracy wydał — „dajcie mnie pieniądze, a ja wam pokażę“—ja nieraz powtarzałem sam sobie w duchu i po cichu, lecz ponieważ obaj najwidoczniej nie jesteśmy odpowiednio zamożni a pieniędzy na tę sprawę nikt nam nie da, można to z całą pewnością twierdzić, dlatego też ja go sobie tylko po cichu i w duchu powtarzałem i nie pojmuję dla czego p. Kisielewski tak go głośno wypowiada — wszak samym tym okrzykiem, zaręczam, ani nic nie stworzy nowego, ani poprawi tego, co jest.

Nie przeceniam mego projektu, ani się nie upieram przy zdaniu, że tylko na warunkach przezemnie podanych sprawa się udać może, można warunki ulepszyć i całkiem nawet zmienić, ale to tylko stanowczo twierdzę, że myśl założenia klubu nie jest ani złą ani niewykonalną, byleby tylko założyli go ludzie czynu i nie dlatego, aby szumnie się rozpisywać, że w Galicyi klub taki istnieje, ale dlatego by działa. Zaręczam, że jeżeli go zawiążą ludzie czynu i wezmą się nie powolnie, ale energicznie do dzieła, to klub taki daleko więcej zdziała, aniżeli my zdziałamy samem odradzaniem do nieskończoności, aż nasze stosunki materyalne o tyle się polepszą, byśmy mogli przemówić „jak z bateryi dział“, lub aż ktoś nam da pieniędzy, byśmy pokazali, co umiemy.

Wybaczą szanowni czytelnicy, że tyle zabrałem miejsca w tym kochanym „*Łowcu*“, w dodatku zupełnie ich nie zabawiwszy, ale w obronie swojej chciałby człowiek jak najwięcej mówić, a tembardziej, gdy chodzi o sprawę na sercu leżącą i ostatecznie dla ogółu myśliwych bardzo żywotną.

Jak już z góry zapowiedziałem, wypowiedzeniem tych słów kilku nie uważam zupełnie sprawy tej za załatwioną a również nie mam zamiaru wywoływać polemiki a już najbardziej polemiki w kierunku tresury psów — usuwam się więc już w tej sprawie na bok i pozwolę sobie tu jeszcze wyrazić, że czułbym się prawdziwie szczęśliwym, gdyby mój skromny głos choć cokolwiek zaważył na szali wagi, na której będą się ważyły wszystkie pro i contra założenia klubu i przechylił ją ku stronie „pro“.

Modest Douillet.



„ROK MYŚLIWCA“

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

. . . .
A na pociechę, jak zwiastunka wiosny
Północnych krain, panna wyszła rano
I twarz nadziei odsłania rumianą,
I śle od wschodu ziemi wzrok miłośny.
Jeszcze daleka śle bociana gońcem,
Znanego ziemi dobrej wieści posła;
I wszystko żyje słońcem, tylko słońcem,
Odkąd wieść dobra w ziemi się rozniosła.

Marzec, u myśliwych „miesiącem szarego pola“ zwany, bywa często jeszcze i bardzo mroźny i śnieżny; ale słońce wybija się coraz wyżej, dzień coraz dłuższy, panowanie wschodnich wiatrów nastaje, a wiosenne porównanie dnia z nocą sprowadza gwałtowne burze i zmienia nagle całą postać widoków natury na ziemi i niebie.

Już to inny ciąg obłoków, inne zawieszenie chmur, inny kolor nieba i we dnie i w nocy, w czasie porannej i wieczornej zorzy.

Jeżeli luty nie zniósł lodów jeszcze, to:

„Na świętego Grzegorza idzie zima do morza.“

Miesiąc to najszerszego rozlewu i panowania wód. Słotne burze i ciepłe wiatry topią nagle śniegi, woda dostaje się naprzód na lody, nim je połamie, nie wsiąka w zamarzłą jeszcze ziemię i zrządza wylewy. Po puszczach i lasach podnoszą się brody, błonia i poniższe łąki, chały i roisty, odkryte błota i rudki zmieniają się w jeziora. Po większych rzekach ląduje woda; zwierciadło jeziór i stawów podnosi się w górę, a tam nawet gdzie przez rok cały nie wystąpi powódź, grają fale w promieniach wiosennego słońca. Najszersze to panowanie wód, ztąd też i najgłośniejsze panowanie wodnego ptactwa, które teraz z cieplic powraca i wrzawnie stadami na czyste pada zwierciadła.

Dzikie gęsi i kaczki dają temu ruchowi początek, a wracające do gniazd bociany zapowiadają powrót błotnego ptactwa. Ptaki obojej gromady, więcej południowej dzielnicy od naszej, morskie i lądowe, przez rok cały u nas niewidziane zresztą, spadają w tym czasie tłumnie i wrzawnie na te same wody, i w ciągu całego roku nie żyje błotne i wodne ptactwo tak głośnem i podniesionem życiem, jak teraz, kiedy rade z cieplic wraca, długą podróżą ośmielone, lekkie i żywe, czujne i obrotne, w barwę godową strojne.

Ztąd też jest głosem natury na marzec wrzawa ptactwa wodnego i klekot bocianów, a widokiem natury szeroki rozlew wód. I wodne i błotne ptactwo szuka sobie pary, a w miarę jak powódź opada, cichnie wrzawa i wabia ptactwa, a stada na pary rozbite, szukają takrocznej pieleszy, na wierzchowinach, po oczeretach, spławach i osokach, w pobliżu jeziór, stawów, bagnisk i rzek.

Około św. Józefa Oblubieńca wracają bociany, a po św. Józefie poczyna już i ziemianin wierzyć w wiosnę, bo wiatrem osycha rola.

Owady i płazy budzą się z zimowego snu, robactwo ziemne i wodne daje znaki życia i wychodzi. W dzień ciepły wylatują już i pierwsze motyle, w noce ciepłe nietoperze, sowy, puhacze i ćmy.

Kuropatwy niosą jaja, grzywacze, skowronki, głuszce, jarząbki i cietrzewie parzą się; drapieżne ptactwo, które w ślad płochego także już wróciło, zwołuje się krańcem lasów około gniazd takrocznych. Pod koniec miesiąca powraca już i słomka; wcześniej jeszcze zapada bekas na błota, a pisk kulików odzywa się we dnie i w nocy od wybrzeży wód. Tu poczyna się już ciąg żurawi, które nizko jeszcze ponad ziemią ciągną, a dzikie łabędzie i pelikany spadają stadami na wielkie stawy i stepowe jeziora.

Polowania w kniei nie ma już w tym czasie, bo „marzec nie tropi“ i na „szarem polu“ w końcu ni śniegu ni rosy.

Odyniec i wycinek odstrzelił się od stada i ryje się w gęstwiny, a samury szukają w podszytych ostępach bezpiecznego dla siebie barłogu. Takroczne warchlaki zbiedniały do reszty od zimna i słoty, więc na dziki polowania nie ma.

Jeleń stoi przy stadzie w gęstwinach, tajaniem śniegów i lodów i wylewem wód skupiony; więc polować na niego nie można. Jelonki zrzucają rogi w tym czasie. Sarny trzymają się w przylaskach, a sarniuk czemcha obrosłe swe rożki o drzewa i ociera łyko. W bliskości tych stanowisk, po korze drzew znacznych, wypada szukać uronionych rogów jelenich, z jelonków młodych i starych jeleni, chociaż trudniej je znaleźć na szarem polu, niż na śniegu.

Gdzie ze szkodą innej zwierzyny rozmnożyły się lisy, tam poluje się jeszcze na jamach z jamniki i stawia się żelaza.

Borsuk wychodzi nocą na żer, wyjąwszy burzliwe noce, ale borsucze jamy potrzeba ochraniać, bo borsuk żywi młode w tym czasie. Stare szaraki mają już młode, marczakami zwane, 2—4; szlachecka kuna 3—4; zbik 4—5 kociąt, które się ślepo rodzą.

Właściwie polowanie jest w tym czasie już na łodzi na wodne ptactwo, gdzie po temu pole. Kaczki biją się także na wabia, lecące na strzał.

Do świtu wyprawia się myśliwy na głuszce i jarząbki do lasów zacisznych, gdzie się wabią i wabione burczą. Cietrzew przebywa najczęściej w tym czasie w leszczynach. Biją się także grzywacze i dzikie gołębie.

Wieczorem ciepłym rozstawiają się po polanach leśnych i przehalinach myśliwi, jeżeli się już ciąg słomek poczyna, a chrzypienie lecącej słomki, to już prawdziwy głos wiosny.

Kolor też lasów liściastych poczyna się już z oddalenia mienić i przechodzić z czarnego w brunatny; leszczyny, osiki i wierzby kwitną; na iwie narastają lub pękają kotki; śnieżki i ranne cebulki, kłują się z pod pleśni: brzęk muszek słychać już ciepłym wieczorem w powietrzu, a pierwsze pszczoły błąkają się już około iwiny, gdy słońce przygrzeje.

Jeżeli koniec marca jest mglisty, to wróży sobie myśliwy, że będzie rok dobry na wodne i błotne ptactwo. Ile mgieł po 25-tym, tyle powodzi letnich na rzekach liczy z trwogą na przyszłość ziemianin.

Kiedy myśliwy zobaczy pierwszego bociana, już pęk zimowych skórek ma być wyprawiony i w ciemnem lecz suchem zawieszony miejscu.

Kto ma bystre oko i słuch dobry, dla tego przynosi każda chwila dnia i nocy ostatnich dni marca nowe życie.

Już to wszelkie ptactwo wracające z cieplic ciągnie właściwie nocą; ale drobne tylko nocą, kiedy większe ptactwo sznurowe i kluczne i na dzień wędrówkę swoję niekiedy przeciąga. Wylewy wód i rzek większych są tu głównie, jak się zdaje, wskazówką, bo na nie to kieruje się ptactwo w swej powietrznej podróży. W powszechności spuszcza się nawet kluczne i sznurowe stróżliwie na wody lub błonia, wracając do ziemi; ale drobna ptaszka przybywa nocą niepostrzeżona, a kiedy się ją o świcie posłyszy lub zobaczy, to już znalazła stanowisko swoje — i trzcinna wraca do trzciny, błotna do błota, nadbrzeżna do brzegu, gajowa do krzewu, sadowa do sadu i szpaleru, murowa do muru, płotna do płotu, a strzeszna do strzechy, i krząta się od razu po swojemu, i ledwo że spadła, już znalazła swoje żerowisko, odwiedza takroczne gniazdo, radzi nad niem, poprawia je, albo szuka miejsca i statku na nowe.

Z każdym dniem tedy przybywa więcej głosów i z nagich jeszcze gałązek odzywa się już chór śpiewaków wcześniejszych, nad którемi głos ziemby i szczygła panuje. Drobna ptaszka ciągnie nocą, bo jako płocha, strzeże się drapieżców, które na nią w też pędy biją, żeru szkając,

Wszystkie, i te i owe, są strojne w godową szatę: jakoż przebywszy morza i zatoki morskie gromadnie, rozbijają się na stałym lądzie na pary, albo ciągną pojedynczo i szukają sobie pary w lądowej podróży, lub przybywszy do gniazd rodzimych w ziemi.

Ztąd są głosy ptactwa wiosną, już pod koniec marca, najsilniejsze, a wszystek głos jest głosem nowego życia i nadziei. Nie słychać ani głosu troski życia, ani smutku, ani trwogi, które się później dopiero odzywają, gdy w gnieździe odnowionem kłują się pisklęta.



KORESPONDENCYE.

Berezowica, dnia 19. lutego 1900.

Dnia 31. stycznia b. r. odbyło się polowanie w Petlikowcach — dobrach hr. Juliusza Korytowskiego, w 3 strzelb, podczas silnej odwilży i rzęsistego deszczu. Zabito w 8 miotach 242 zajęcy i 3 rogacze.

Jest to najpiękniejsze bezsprzecznie polowanie zajączkowe nu Podolu. Gdyby pora sprzyjała, na rozkładzie mielibyśmy niezawodnie o 100 zajęcy więcej i kilka rogaczy; mnóstwo bowiem sarn pasło się, w polu na oziminach.

Knieja ta 300 morgowa korzystne ma położenie nad Strypą, wśród rozległych obszarów ornych, jak daleko okiem sięgnąć! ma też dobre sąsiedztwo — Ossowce.

W Petlikowcach jednak mnóstwo jest sprytnych kłusowników, wyławiających zające i sarny na druciane sidełka, wielkiej też trzeba baczności — by ustrzec biedne szaraki od tych strasznych sideł; a tem trudniej, że knieja graniczy bezpośrednio z włościańskimi ogrodami.

Ostatni ten dzień łowieckiego karnawału spędziliśmy wesoło, choć nie jedno „pudło“ mają na sumieniu niektórzy sędziwi myśliwi. Oby przyszłość dla łowca była pomyślniejszą — jak obecna dla rolnika i abyśmy na rok przyszły wszyscy w dobrem zdrowiu mogli korzystać z łaskawej i serdecznej gościnności gospodarza.

Mieczysław Konopacki.

Lwów, 7. marca 1990.

Niezwykle łagodny przebieg temperatury miesiąca lutego b. r. wywołał objawy w życiu zwierząt, o tej porze zresztą niezwykłe. Oto donoszą nam z doliny Bystrzycy nadwórniańskiej, z gór Rafajłowy, że z końcem miesiąca lutego b. r. zaczęły głuszce tokować. Zmiana dekoracyi, która nastąpiła w dniu 1-go marca, musiała zapewne ochładzająco na zapały głuszców podziałać tak, że zwykłe ich gody weselne rozpoczną się prawdopodobnie jak zwyczajnie dopiero w połowie kwietnia.

C. Kochanowski.



Kronika.

Si non e vero... Elekryczność zastósowana przy polowaniu na tygrysy! Pomysł amerykański! Zostosowano go jednak nie w ojczyźnie Edisona, lecz podobno w Indyach angielskich, przez osadników angielskich. Oto, jak opisują ten sposób polowania. Strzelec staje w dżunglach i umieszcza niedaleko siebie przynętą, która ma zwabić drapieżca. Na gałęzi i nad sobą sadza lampkę elektryczną, połączoną z bateryą o sześciu elementach. Baterya ta ma także połączenie z kolbą sztucca. Za pomocą lekkiego pociśnięcia wielkiego palca u lewej ręki, można każdej chwili wywołać światło. Gdy tygrys się pojawi, strzelec pociska guzik — światło zapala się, a tygrys zdziwiony, pozostaje przez kilka chwil nieruchomy. Rzeczą strzelca jest ugodzić go w tej chwili śmiertelnie. Jedyną niedogodnością przy tym sposobie polowania jest zanadto wielki ciężar bateryi elektrycznych, dotychczas używanych. Obecnie mają je zastąpić specyalnym przyrządem, który strzelec umieści u pasa.... Prawda wydaje się przecież niekiedy nieprawdopodobną.

Wilki we Francyi. Biuletyn francuskiego ministerstwa rolnictwa ogłasza ilość zabitych wilków we Francyi w ciągu roku 1898 i premii wypłaconych za nie w myśl obowiązujących przepisów. Zabito wilków w ciągu r. 1898 w 21 departamentach 197. Dosiągnąwszy swojego minimnm w ciągu r. 1896, liczba zabitych wilków wzrosła w roku następnym, a jeszcze więcej w r. 1898, jak to widać z podanej tu tabelki:

W r. 1883	zabito wilków	1316
„ 1884	„ „	1033
„ 1885	„ „	900
„ 1886	„ „	760
„ 1867	„ „	701
„ 1888	„ „	505
„ 1889	„ „	515
„ 1890	„ „	461
„ 1891	„ „	404
„ 1892	„ „	327
„ 1893	„ „	261
„ 1894	„ „	245
„ 1895	„ ,	249
„ 1896	„ „	171
„ 1897	„ „	189
„ 1898	„ „	197

Największą ilość zabitych wilków dał departament Charente i Dordogne. Premii wypłacono 13.000 franków. Ilość wilków we Francyi jest zatem jeszcze poważna. W Chabroulie, w departamencie Dordogne, posłyszał wieśniak, nazwiskiem Marcher, wycie wilka na podwórzu swego domostwa. Wybiegł natychmiast i strzelił do nocnego gościa. Zraniony ciężko wilk rzucił się na wieśniaka, który strzelił wtedy z drugiej lufy. Pomimo tego jednak, że i ten strzał był celny, wilk nie padł, lecz skoczył, wyjąc z bolu, na Marchera. Ten jednak wpakował mu lufę strzelby w otwartą paszczę i póty mocował się z nim, kopiąc go nogami póki wilk nie wydał ostatniego tchnienia z nóg zwycięscy.

Z powodów od nas niezależnych nie mogliśmy umieścić w tym numerze licznych nadesłanych nam korespondencyi. Uczynimy to w najbliższym numerze.

Redakcya.

Tych pp. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. *Wydział.*

Lwowska filia

Tow. wzajemnego kredytu w Krakowie

gmach Asekuracyi krakowskiej

we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 18.

przyjmuje



i oprocentowuje je po $4^1/_2\%$ od sta rocznie.

65—21—?

Do 2.000 koron wypłaca bez wypowiedzenia.

Rok założenia 1854.

alemym an wzło **opaski**, ja-ystawie krajowej 1894 roku

nagrodzona

FABRYKA WYROBÓW STOLARSKICH i PARKIETÓW

pod firmą

Marcin Prugar i Syn

we Lwowie, ul. Supińskiego l. 5 i ul. Pełczyńska l. 15

poleca

wszelkie **urządzenia sklepowe**, **portale**, **meble**, jakoteż **roboty budowlane** po cenach przystępnych i w najkrótszych terminach dostawy.

Cenniki franco i gratis.

Utrzymuje na składzie **gotowe okna, drzwi i opaski**, jakoteż **parkiety** w różnych wzorach i cenach. 136—10—24

Dla amatorów i lubowników psów

poleca się

SŁAWNE PIGUŁKI HOSTOŃSKIEGO

jako jedyny i nieprześcigniony środek przeciw wywiązywaniu się nosacizny, wścieklizny i choroby psów.

Pudełko wraz ze sposobem użycia 1·50.

wyłączny skład

W GŁÓWNYM MAGAZYNIE BRONI

Alfreda Dzikowskiego

we Lwowie.

Odsprzedającym stosowny opust. 21—?

H. DATTNERA

Biuro

Pierwszorzędnych kopalń Węgla kamiennego i koksu

poleca do wszystkich stacyi wagonami

najlepszy Węgiel górno-ślązki, dla maszyn parowych i Węgiel salonowy dla opalania pieców.

138-10--12

Ceny stałe i umiarkowane.

Adres dla telegramów: „Dattner“, Lwów.

Okazya!

Żywe, silne, dobrze odżywione **kurupatwy**, para koron 7·20 takie same **koguty bażańcie** po koron 6, **kury** po koron 10·50, **zające** samce koron 4·75, samice 15·50, Silne **sarny**, kozły i siuty po koron 60, bez opakowania, loco Wiedeń. Asekuracya za żywe przybycie 10% i 15%.

Ceny te są ważne tylko przy większym zamówieniu i do dnia 20 marca b. r.

Polecam dalej **angielskie, mongolskie, różnokolorowe, królewskie i inne bażanty, dzikie indyki, kamionki, przepiórki czubate amerykańskie, puchacze**, następnie **jelenie, dziki, kozice, zające bielaki, dzikie króliki i łasiczki** do polowania na króliki, **kusaki**, (Tinamous), para po koron 60.

W maju jaja wszelkich gatunków ptaków. Cenniki wyczerpujące gratis.

Karol Gudèra

dostawca dworski i exporter zwierzyny

w Wiedniu I. Kolowratring 4.

C. k. uprzyw. galicyjski akcyjny

BANK HIPOTECZNY

Oddział depozytowy

przyjmuje wkładki i wypłaca zaliczki na rachunek bierzący, przyjmuje do przechowania papiery wartościowe i udziela na takowe zaliczki.

Nadto zaprowadzono na wzór instytucyj zagranicznych tak zwane

Depozyty schowkowe (Safe Deposits).

Za opłatą 20 do 35 złr. w. a. rocznie, depozytaryusz otrzymuje w stalowej kasie pancernej schowek do wyłącznego użytku i pod własnym kluczem, gdzie **bezpiecznie a dyskretnie** przechowywać można swoje mienie lub ważne dokumenty.

W tym kierunku poczynił Bank hipoteczny jak najdalej idące zarządzenia.

Przepisy odnoszące się do tego rodzaju depozytów otrzymać można bezpłatnie w oddziale depozytowym.

117—11—24

NOWO OTWORZONY

Oddział Melioracyjny

lwowskiej Filii

Banku gal. dla handlu i przemysłu

ulica Jagiellońska l. 3

wykonuje wszelkie prace melioracyjne, jako to: zdjęcia planów, wygotowywanie kosztorysów do drenowania pól, nawodnienia i odwodnienia łąk, budowy rowów, kanałów, dróg, szos, kolejek itp., i poleca się do praktycznego przeprowadzenia powyższych prac. Finansowanie uskutecznia się podług każdorazowej szczególnej umowy. W razie już gotowych planów nastąpić może na podstawie tychże wykonanie pracy.

Dyrekcya.

1—16

Na sezon!

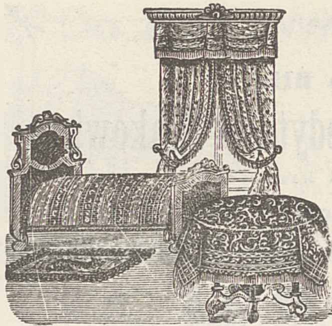
Otrzymaliśmy właśnie transport i polecamy **po cenach najniższych:**

Rogóżki kokosowe szczotkowe i plecione w różnych wielkościach,
Chodniki kokosowe,
Chodniki z Linoleum,
Chodniki ceratowe w kilku szerokościach,
Przedściółki z Linoleum,
Przedściółki ceratowe w różnych deseniach i rozmiarach,
Maty japońskie na ściany i przed łóżka,
Ceraty na stoły i meble wszystko bardzo gustowne i w wielkim wyborze

Friedrich i Beacock

Lwów, ul. Hetmańska liczba 4.

2—6 obok cukierni Wgo Grossa.



AWIZO.

Renomowane i najtańsze źródło zakupna wszelkich gatunków dywanów, firanek, portyer, chodników, kołder, kap na stoły i łóżka, koców, der na konie i rozmaitych przedmiotów dekoracyjnych.

Podług umowy udzielamy także chętnie ulg w spłatach.

Na żądanie wysełamy illustrowane cenniki

darmo i opłatnie.

Specyalny oddział prawdziwych oryentalnych, perskich, indyjskich i smyrneńskich dywanów, sprowadzonych wprost z odnośnych okolic Wschodu.

ZARZĄD WIEDEŃSKIEGO MAGAZYNU

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.

121a—10—12 Biuro ekspedycyjne w Wiedniu IX. Hahngasse Nr. 33.

A. Krzysztofowicz

Lwów, plac Halicki l. 2

Dywany, Materye na meble, Firanki,

Portiery, Chodniki

Wybór kolosalny

Ceny mierne.

Poleca:
Makaty,
Gobeliny,
Parawany,
Ekrany,
Poduszki,
Meszty tureckie,
Szaliki,
Futra pod nogi. 8—24

Osuszenie wilgotnych ścian, wytępienie grzyba, odwodnienie piwnic i mokrych gruntów, izolowanie ścian i murów fundamentowych naturalnym gorącym asfaltem, kanalizowanie realności i urządzanie zbiorników betonowych, krycie dachów tekturą asfaltową, dachówką i łupkiem. Wyposadzkowanie wszelakich ubikacyj, począwszy od salonu i całego domu mieszkalnego aż do magazynów, warsztatów, zakładów przemysłowych, śpichrzy, stajen, krowiarń, jakoteż i podwórzy — rozmaitymi materyałami, jakoto: płytkami keramicznemi (szteingutowemi), tak w jednym kolorze, jak i w najbogatszych deseniach dywanowych, klinkierami, płytkami cementowemi różnokolorowemi, asfaltem, betonem, wreszcie najnowszem „Magnolith“, tworzącem podłogę jednolitą bez fug, twardą do niezużycia, a jednak ciepłą i przyjemną jak podłoga parkietowa. Kompletne urządzenie klosetów z zastosowaniem do wodociągów i bez; urządzenie ogrzewalnych łazienek domowych itp. itp. — Wszystko to wykonywa z fachową umiejętnością firma

J. RZĘDOWSKI

we LWOWIE ul. Sykstuska l. 16 — **w PRZEMYŚLU** ul. Mickiewicza.

telefonu nr. 257 i 277.

Nadto utrzymuje się na składzie wszelkie w zakres budownictwa wchodzące materyały. — Na żądanie wysełа się cenniki i specyalne oferty. 130—9—24

NAJWYBORNIEJSZYCH

1/2 Kg.	cukrów deserowych jako to pomadki, czekoladki etc.	zł. 1·20
„	Biskwitów ang. i herbatników	„ 1·–
„	Karmelków mięszanych	„ —·75
„	Cacao odtłuszczone proszkowane	„ 1·50
„	Czekolady wybornej od 70 ct. do	„ 1·50

poleca codzień świeże

HENRYK TRETER

właściciel parowej fabryki cukrów i czekolady we Lwowie. 116—11—24

Kupujmy znakomite wyroby własne, precz ze sprowadzoną tandetą!

Broń myśliwską

przybory do polowania, szermierki, podróży

poleca

MAGAZYN NOWOŚCI

E. MACHAYSKIEGO

we Lwowie, róg ulicy Jagiellońskiej i 3-go Maja.

92—12—24

ZAKŁAD

handlowo ogrodniczy

JANA KLIMOWICZA

rok założenia 1826

we Lwowie, ul. Gosiewskiego L. 1

obok klasztoru PP. Sakramentek

poleca na sezon wiosenny nasiona wszelkiego rodzaju, drzewka owocowe, krzewy ozdobne, kwiaty, wieńce, bukiety ślubne i balowe po cenach nader niskich.

Proszę Szanowną P. T. Publiczność z powodu, że są dwie firmy jednego nazwiska, o dokładny mój adres. 2—24

Świeże nasiona

jarzyn, kwiatów, traw, buraków pastewnych, koniczyn, lucerny francuskiej i nasion lasowych

poleca po cenach najtańszych i w najlepszych gatunkach

4—24

główny skład

nasion, roślin i kwiatów

Z. Mękarskiego

we Lwowie, pl. Halicki 1.

Cenniki nasion na żądanie franco.

Dla obszarów dworskich

polecają 2—24

Piotr Mikolasch i Sp. Lwów

ul. Kopernika, 1.

w doborowej jakości po cenach konkurencyjnie niskich

farby, lakiery, pokosty,

Węże spiralne
Węże konopne
Węże gumowe
Płyty gumowe
Płyty asbestowe
Sznury gumowe
Kule gum. do wentylów
Szkło do wodoskazów
Przyrząd kauczukowy przeciw wzdęciu
Trokary
Klistyry cynkowe
Klistyry gumowe
Amoniak
Wyroby „Kwizdy“
Bajc do pszenicy
Szczotki do kadzi
Oliwa do maszyn
Oliwiarki
Pasy skórzane ang.
Rzemyki do szycia
Śruby do spajania pasów
Pirolinę do świecenia 75% tańszą od nafty i niezapalną
Latarnie
Pochodnie naftowe
Sól glauberska
Sól bydlęca mielona
Sól bydlęca w kawałk.
Chemikalia i t. p.

Perfumerya, kosmetyki, artykuły toaletowe, gąbki etc.

Cenniki gratis i franco.

Jedyna pracownia w kraju

ul. Kołłątaja l. 5.

emaliowania metali, rowerów, blaszane i kuchenne naczynia, stoły, łóżka i t. d. Lakierowane w piecu, wypalane na sposób berliński i wiedeński, zakład malowania szyldów, złocenia figur, krzyżów, imitowanie drzewa i marmurów i t. p. roboty budowlane i portalowe wykonywa uczciwie po najniższych cenach

J. Krzanowski

lakiernik.

137 10—24

Przez długoletnią praktykę wypróbowane, a nawet w zastarzałych wypadkach pewnie, gruntownie i trwale działające

Środki na parchy, choroby skórne, i wrzody u psów

są do nabycia u weterynarza

Franciszka Ehrenhöfera

w Neunkirchen

(Austrya dolna).

Liczne i pochlebne świadectwa do dyspozycyi. — Udzielam także listownie rad w innych chorobach psów. 124—10—24

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.